



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zofia Skirzyńska-Zboralska

Huštawki

*Pamięci Dziesięciu
poświęcam to wspomnienie.*

Urodziłam się i mieszkałam z rodzicami przy ul. Mszczonowskiej w Warszawie na Woli. W tej części przedmieścia, które związane jest z historią powstania listopadowego i takimi wydarzeniami jak „Reduta Wolska”, „Reduta Ordoną”.

Przy ul. Mszczonowskiej, zaraz przy przystanku Warszawa „Reduta”, leży kamień z napisem: „Tu została przez Moskali w 1831 roku wysadzona w powietrze „Reduta Ordoną” (cytat z pamięci). To są już dawne dzieje. W 1942 roku miało miejsce inne wydarzenie, które opisuję w sposób, w jaki to przeżyłam, jako ośmioletnie dziecko.

Ulica Mszczonowska, w części od ulicy Gniewkowskiej aż do szlabanu kolejowego przy 6 posterunku PKP, to była wówczas ruchliwa ulica. Tędy kolejarze szli do pracy i z pracy. Tu była parowozownia, składy węgla, w który zaopatrywały się parowozy z całego odcinka należącego do „warszawy zachodniej”. Była też, nieco dalej, górka rozdzielcza. Zatrudnionych było tu wielu kolejarzy. Tu rozwijał się też podczas okupacji niemieckiej pokątny handel węglem, po który przychodziło dużo chętnych aż „z miasta”. Ulicą przejeżdżały na Zieleniak, od okolicznych ogrodników, platformy naładowane kalafiorami i kapustą.

W kamienicy mojego ojca, w części przeznaczonej w przyszłości na mieszkanie dla mojej najstarszej siostry, mieszkało kilku lokatorów i było dużo dzieci, najwięcej z całej ulicy. U nas, pod dwudziestką, było zawsze gwarno. Niektórzy narzekali, że „za głośno”.

Wszystkie zabawy odbywały się przed domem albo na podwórku. Przed domem wówczas, kiedy graliśmy „w klasy” rysując komórki na przestrzeni między budynkiem a chodnikiem, a na podwórku wówczas, gdy bawiliśmy się w „berka” lub w „chowanego”, albo graliśmy w „dwa ognie”. Czasami swoją ogromną huštawkę udostępniała nam pani Szulc z Gniewkowskiej. To była wielka frajda, ale trudno się było dostać. Bardzo lubiłam się huścić, a na swojej zawieszanej w drzwiach już się nie mieściłam.

Wszystkie zabawy odbywały się we wspaniałej atmosferze, ale jeszcze przyjemniej było, kiedy do nas dołączała Teresa.

Z Teresą często też siadywałyśmy, tylko we dwie, gdzieś na uboczu. Bawiłyśmy się jej pingwinkiem, albo czytałyśmy bajki. Przynosiła z domu pięknie ilustrowane książki i kazała mi czytać na głos bajki o „Niezabudce”, o „Żołnierzyku” i różne inne. Było to dla mnie mało przyjemne zajęcie, bo nie umiałam jeszcze dobrze czytać i dukałam. Zatrzymywałam się na długich słowach i obcych wyrazach. Często nie

rozumiałam tego, co czytałam. Dlatego, żeby szybciej dowiedzieć się, co będzie z sierotką Marysią lub królewiczem, który wyrzucony z wieży stracił wzrok, prosiłam ją, by doczytywała do końca. Teresa robiła to szybko i wszystko rozumiałam, bo pięknie akcentowała. Teresę bardzo lubiłam. Była mądra i chodziła już do VI klasy. Tyle wiedziała i tak pięknie opowiadała. Umiała zaciekawić wszystkich, nadać właściwy ton rozmowie i zabawie.

Prawie wszystkie dzieciaki chodziły do szkoły. Nauka trwała krótko nie tylko ze względu na skrócony program przez wyrzucenie z niego ortografii, gramatyki, historii, ale dlatego, że duże gmachy szkół były zajęte przez Niemców i zrobiono z nich koszary.

W „Barakach” i w szkole „Grot”, do której uczęszczałam, nauka odbywała się na zmiany. O różnych godzinach wracaliśmy do domu.

Pewnego dnia byłam wcześniej w domu niż Teresa. Niecierpliwiłam się, bo chciałam, uprzedzając inne dzieciaki, pochwalić się nowością, którą usłyszałam i którą już każde dziecko powtarzało sobie z ust do ust. Nie mogąc się doczekać jej powrotu, wyszłam naprzeciw i stanęłam na rogu Gniewkowskiej i Mszczonowskiej. Nie szłam, ale biegłam, gdy ujrzałam ją wychodzącą z ul. Chrzanowskiej. Dobiegając do niej zaczęłam prawie krzyżeć – Teresa! Wiesz, stawiają nam huśtawki! Jeszcze większe niż ta u pani Szule! To mają być huśtawki dla wszystkich dzieci z ulicy Mszczonowskiej! – Gdzie stawiają? – pytając popatrzyła na mnie z góry. Zaczerpnęłam powietrza i zaczęłam wyjaśniać – w te dołki, co je wykopywali mężczyźni na polu, naprzeciwko „Polskiego Tłenu”. Powsadzali wysokie słupy, takie jak telegraficzne. Na te słupy położyli poprzeczki, też z belek, a teraz chyba... – widząc jej zdziwioną minę, zaczęłam słowa cedzić przez zęby – na pewno zaczną przymocowywać huśtawki – niepewnie dokończyłam.

– Kto ci to powiedział? – zapytała. – Jerzyk i Zbyszek! Mówili, że będziemy mieć huśtawki.

– Ależ dziewczyno! I ty wzięłaś to dosłownie, ty im uwierzyłaś? Przecież to nie będą huśtawki, a na pewno szubienice! Tak mówił mój wujek Wincenty!

– Szubienice z belek? – zapytałam. – W szubienice gra się na kartce papieru, w kółko i krzyżyk – powiedziałam zdziwiona. – A co to takiego ta szubienica? – zapytałam zaniepokojona i niezadowolona.

– Nie wiesz? Szubienica to straszna rzecz. Na szubienicy wiesz się ludzi – powiedziała szybko Teresa. – Jak to wiesz się ludzi? – zapytałam. – Dlaczego się ich wiesz?

– Ach, głupia, żeby ich zabić w taki okropny sposób, żeby wisieli tak na postrach dla innych.

Popatrzyłam na nią przerażona. Moja radość nagle znikła. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem. Nie mogłam tego pojąć, nie mogłam sobie tego wyobrazić, nie mogłam się z tą wiadomością oswoić. Teresa to zauważyła i powiedziała pocieszająco – Jak tylko zjem obiad, to ci coś pokażę – przyjdiesz? – Pewnie, że przyjdę.

Weszłam na pierwsze piętro do siebie, bo już byliśmy w naszym domu. Gdy tylko na parterze, gdzie mieszkała, zamknęły się drzwi, zesłam cichutko po schodach i usiadłam na najniższym schodku naprzeciw drzwi państwa Lewandowskich, czyli Teresy. Cały czas rozmyślałam o tym, co mi powiedziała i nie dowierzałam jej. Ona na pewno się myli. Czekałam z wielką niecierpliwością. W końcu ukazała się w drzwiach i zawołała mnie do środka. Pachniało kluskami ze słoninką. Wyjęła plik pocztówek i zaczęła mi je pokazywać.

– To są takie zdjęcia – mówiła – ilustracje do tych bajek, które czytałyśmy.

Popatrzyłam na te ilustracje i rzeczywiście odnalazłam Niezabudkę z warkoczem, Żołnierzyka pod mostkiem i różne inne. Gdy ja oglądałam, Teresa szybko przekładała pozostałe szukając jakiejś. W końcu tę właściwą odnanalezioną podała mi do obejrzenia.

– Co to jest? Ależ to okropne, czy to też bajkaa? – przeciągnęłam pytając i z niedowierzaniem.

Pocztówka przedstawiała niesamowitą scenę. Na tle chmur pędzonych wichrem stała szubienica. Tak samo wysoka jak te, które budowali przy Mszczonowskiej. Na niej wisiało kilku mężczyzn. Teresa nazwała ich wisielcami. O szubienice oparta była drabina, po której schodził chłopak z przetrzuconym przez ramię ciałem wisielca. Przed szubienicą było rozpalone ognisko, wokół którego głupi Jaś, jak go nazwała, sadzał trupy opierając jednego o drugiego.

Zaniemówiłam, zrobiło mi się niedobrze i ledwie dochodził do mnie cichy głos Teresy – to jest bajka o głupim Jasiu, który chce ocieplić i ożywić wisielców. Tak wygląda szubienica!

– Nigdy nie słyszałam o takiej bajce i nie chcę jej czytać! Pokaż – prosiłam – inne pocztówki. – I choć oglądałam „Księżniczkę na grochu” i inne piękne ilustracje do bajek, to miałam w oczach tylko szubienice. Rozmowa się urwała.

Pod pretekstem obiadu wyszłam od Teresy. Pobiegłam w stronę fabryczki Żyta, przykucnęłam pod parkanem prawie przy transformatorze i przyglądałam się szubienicom. Wreszcie wstałam i powracając do domu podskakiwałam raz na jednej, raz na drugiej nodze i cicho śpiewałam „kółko krzyżyk, kółko krzyżyk, powieszony!” Och, co ja śpiewam? Głupia gra. Nie będę grała w powieszono. Nigdy!

W mieszkaniu zaskoczyła mnie inna niż zwykle atmosfera. Zupa zimna, bo nie przyszłam jak mnie wołali i nie było bury. Ojciec stał przy stole i do teczki wkładał koszule i ręcznik, upominając mnie żebym już nigdzie nie wychodziła. Mówił jakoś nerwowo, jakby się tłumaczył, że idzie do Cyrańskich na

Elekcyjną, bo tu mogą aresztować mężczyzn, bo po co to stawiali. Tam jednak jest dalej od tego miejsca. Myślał o szubienicach. Ja już wiedziałem, co to oznacza. Gdy było już późno, wyszedł z domu.

Wysłałam na balkon i rozejrzałam się. Dopiero teraz zauważyłam, że na ulicy nie ma nikogo. Przeciwna strona naszej ulicy była niezabudowana, a na całej przestrzeni uprawnych pól nie było widać żywej duszy.

Jutro miały być imieniny Jadwigi, jak one się odbędą? Na 15 października schodziła się tam cała młodzież z rodziny i bywało wesoło, uroczyście i czasem z tańcami. Nazajutrz było cicho, a kwiaty przysyłano przez gońca: od „Lutka”, od „Tadeusza”, od „Dzieciaków” z Ordonu. Coś wisiało w powietrzu, ale niezupełnie zdawałam sobie z tego sprawę. Na każdy odgłos dochodzący z ulicy obie siostry biegnęły do okna. Wieczór był bardzo długi i do końca nie doczekałam, zasnęłam. Za to rano pierwsza byłam na nogach i obudziłam łaskotkami Jadwigę. Wcale się nie śmiała. Wskoczyła z łóżka na równe nogi, odsunęła mnie na bok i bez żadnego słowa podbiegła do okna. Krzyknęła i osunęła się na podłogę. Janka, moja druga siostra, pospieszyła jej z pomocą, a ja wspięłam się na parapet okna. Tam w lewo, o jakieś 150 metrów od naszego domu, naprzeciwko „Polskiego Tłenu”, na uprawnym polu, w odległości piętnastu metrów od ulicy, na dwóch szubienicach wisiało na pętlach zaciśniętych na szyi dziesięciu mężczyzn.

Tak samo jak na pocztówce, z tą różnicą, że tam był to okropny pomysł na bajkę, a tutaj okrutna rzeczywistość. W tym miejscu, gdzie na pocztówce było ognisko, stało na warcie dwóch Niemców z karabinami. Ten dzień był cichy, a burzył umysły stale donoszonymi nowymi wiadomościami, że przed powieszeniem krzyczeli „jeszcze Polska nie zginęła” i „niech żyje Polska”. Nikt jednak człowieka, który był świadkiem tego wydarzenia nie znał. Przekazywano sobie tylko, że „ten” mówił, że „tamten” to słyszał. Naocznego świadka nikt nie znał i nikt nie widział. Najbliżej byli kolejarze na 6. posterunku PKP, ale o godzinie drugiej w nocy na pewno bali się wyglądać, albo było im to zabronione. Wszyscy byli jednak pewni jednego, że to wiszą polityczni z Pawiaka. Po południu zaczęli pomału ukazywać się ludzie z innych ulic i dzielnic. Gromadkami, żeby obejrzeć i sprawdzić czy nie ma wśród pomordowanych kogoś bliskiego czy znajomego. Następnego dnia było więcej przybywających, a trzeciego jeszcze więcej. Ludzie szli całą wolną przestrzenią, trotuarem, ulicą, a nawet rowem biegnącym wzdłuż ogrodzenia tej niezamieszkałej strony ulicy.

Ludzie tu mieszkający byli przerażeni, bo obawiali się łapanek i ostrzegali przybywających, ale ten tłum następnego dnia zniknął. Temu wszystkiemu przyglądałam się z balkonu i widziałam te kobiety, które rozpoznawały syna, ojca, męża, brata i słyszałam ich pełne bólu okrzyki.

Pierwszego listopada moje siostry Jadwiga i Janka skradając się nocą pod dawno już puste szubienice postawiły świece, a na drutach ogrodzenia wywiesiły hasło „Cześć Polakom pomordowanym, cześć Polsce walczącej”. Były też i takie akcenty pamięci – nadjeżdżała dorożka, przed szlabanem zakręcała, a na wysokości szubienic wysiadała elegancko ubrana kobieta, kładła wiązanek kwiatów i wsiadała z powrotem. Dorożkarz podcinał batem konia i zanim warta na posterunku się zorientowała, dorożka wjeżdżała w Gniewkowską.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło uciekałam od każdego, kto proponował mi zabawę w szubienice. Inne zabawy też straciły urok. Huśtawka, którą tak lubiłam przypominała tych niemych dwóch świadków strasznych wydarzeń – stojące w polu szubienice.

Z Warszawy wyjechałam w 1946 roku. Siostra zabrała mnie do siebie po tragicznej śmierci mojej matki. Warszawę odwiedzałam nieregularnie. W 1983 roku odwiedziłam swoją ciotkę mieszkającą nadal na Mszczonowskiej. Poszliśmy na to miejsce straceń. Było to już między torami, których przybyło aż do numeru 14. Teren wydzielono i oparkowano. Wchodziło się furtką. Naokoło trawnika wyrosły brzozy, a w głębi stała jedna szubienica. Tę drugą w 1945 roku zrąbano na krokwie dachu pobliskiego domu, odbudowywanego po spaleniu. Tę ocalałą zawdzięczamy przytomności pani Cepuchowej, która krzychała biegnąc na przelaj przez pole – to hańba zabierać to drewno na dach! To musi tu zostać i świadczyć o dokonanej zbrodni! – Przysłuchiwałam się wówczas tej kłótni i nie byłam tego taka pewna. Nie byłam zadowolona, że ta druga tu zostanie, bo wciąż przypominała ten okropny dzień, a właściwie noc z 15 na 16 października 1942 roku.

Teraz po latach byłam innego zdania. Dobrze, że została ta jedna szubienica i przypomina, że „Tu zginęło Dziesięciu.”

Tu płakały matki, żony i dzieci
Tu rodziła się nienawiść i
Strach budził ze snu
Jakby nie dziesięciu ich było a stu.
W serce wbiła się zadra
W mózg całe zdarzenie
Powieszonym daj Panie odpocznienie
Wieszającym rozgrzeszenie
A mnie zapomnienie.